

KTOMIDAŁ SKRZYDŁA



Stypendia Marszałka wręczone!

Stypendia Marszałka Województwa Wielkopolskiego są dla artystów szansą na realizację swoich projektów oraz zdobycie doświadczenia pod okiem mistrzów. W tym roku odebrały je 22 osoby, a kolejnych 5 zostało nagrodzonych. Uroczystość, połączona z koncertem Macieja Fortuny, odbyła się 21 kwietnia w poznańskiej Auli Artis.

Wielkopolska kultura to nie tylko Poznań, ale też mniejsze ośrodki. – Działają tam ludzie ogromnej pasji i wielu talentów, potrafiący stworzyć coś niezwykłego. Właśnie takie osoby chcemy dostrzegać i wspomóc. Nagradzamy osoby, które przyczyniają się do rozwoju naszej kultury, często mając bardzo znaczące dokonania, zarówno jako artyści, jak i animatorzy. Proponują nam interesujące i różnorodne pomysły na projekty w zakresie wielu dziedzin kultury – mówił podczas inauguracji gali, Marszałek Województwa Wielkopolskiego, Marek Woźniak.

Wielu dotychczasowych stypendystów cieszy się dziś uznaniem w polskiej kulturze. Pokazuje to choćby sukces reportażysty Filipa Springera, pianisty Jacka Kortusa, wokalistki Dagmary Gregorowicz, gitarzysty Łukasza Kurpaczewskiego czy powieściopisarki Joanny Jodełki. W tym roku stypendia w dziedzinie kultury otrzymali: Wiesława Szczygieł-Kusowska, Janusz Justyna, Sebastian Frąckiewicz, Weronika Strugała, Piotr Kulka, Marek Lapis, Izabela Fietkiewicz-Paszek, Maria Ornał, Iwona Witek, Celina Kotz, Izolda Kiec, Stepan Rudik, Julia Sawicka, Joanna Michalska, Anna Miernik, Jarosław Borowiec, Agata Siwiak, Luba Zarembińska, Kinga Walla, Stanisław Małyszko, Marek Jankowski i Michał Mąka.

Podczas uroczystości nie obyło się bez wręczenia nagród w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury za rok 2016. W kategorii „twórczość artystyczna” zdobyła ją Elżbieta Wasyłyk – malarka, profesor Akademii Sztuki w Szczecinie, autorka blisko 70 wystaw indywidualnych oraz kilku cykli malarskich prezentowanych w Polsce i zagranicą. Laureatkami w kategorii „animacja i upowszechnianie kultury” zostały Danuta Gościńska – kierownik sekcji Fortepianu i Organów w PSM I i II st. im. I. J. Paderewskiego w Koninie oraz Zofia Wawrzyniak – emerytowana nauczycielka plastyki, malarka i organizatorka plenerów oraz warsztatów malarskich na terenie powiatu słupeckiego.

Za całokształt dorobku kulturalnego nagrody otrzymali Andrzej Leraczyk – animator kultury, naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Ostrowie i laureat wielu konkursów poetyckich, a także Janusz Stolarski – aktor, reżyser, animator kultury teatralnej i wychowawca młodych twórców, który w ubiegłym roku obchodził jubileusz 30-lecia pracy artystycznej.

Gali wręczenia tegorocznych stypendiów i nagród towarzyszył występ trębacza i kompozytora jazzowego, Macieja Fortuny – stypendysty z 2013 i 2016 roku. Muzyk poświęcił go twórczości Jerzego Miliana – poznańskiego wibrafonisty w legendarnym sekście Krzysztofa Ko-



medy, jednej z najbarwniejszych postaci w historii polskiego jazzu. Na program koncertu złożył się materiał z ubiegłorocznej płyty „Jerzy Milian – Music For Mr. Fortuna”.

Co ciekawe, wydawnictwo ukazało się zarówno w formie płytowej oraz w postaci darmowej aplikacji mobilnej „Stretch Milian”, pozwalającej słuchaczowi dowolnie moderować materiał dźwiękowy. W ramach uroczystości, wraz z zespołem, artysta zaprezentował tytułowy utwór skomponowany na trio jazzowe i kwartet smyczkowy, a także inne utwory Miliana, wybrane spośród nagrań zgromadzonych w archiwach poznańskiego Radia Merkury.

Występ rozpoczął się od wykonania utworu „Na czwartym piętrze”, czarującego filmowym klimatem lat 80. i wyrefinowaną solówką pianisty Krzysztofa Dysa. Bez wątpliwości najbardziej satysfakcjonującymi momentami koncertu były te, w których Fortuna prowadził melodyjny dialog z sekcją smyczkową: skrzypkami Janem Świecą i Anną Ziółkowską, alciście Tomaszem Ziółkowskim i wiolonczelistką Moniką Baranowską. Bogate, poruszające brzmienie smooth jazzowych ballad „Dla Sawy”, „Naszynik z jaskółek” i „Ballada na trąbkę”, zostało skonstrastowane z orientalną „Melodią turecką” i latynoską „Rumbą”. Ta ostatnia okazała się być dla muzyków pretekstem do niemal free jazzowej improwizacji,

w której – wspólnie z gospodarzem – przez cały koncert królował perkusista Przemysław Jarosz. Najdobitniej pokazało to finalne wykonanie dwuczęściowej, najbardziej eksperymentalnej w całym zestawie, kompozycji „Music for Mr. Fortuna”, w której na pierwszy plan wysunęła się sekcja rytmiczna. Trudno nie wyróżnić w niej kontrabasisty Kuby Mielcarka, wspólnie z trębaczem wprowadzającego słuchaczy w muzyczny świat Pekinu, zgodnie z tytułem drugiej części – „Flying to Beijing”.

Uroczystość wręczenia stypendiów oraz nagród Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury odbyła się w piątek, 21 kwietnia o godz. 19 w Auli Artis – Collegium Da Vinci (ul. gen. Tadeusza Kutrzeby 10) w Poznaniu.

Autor: Sebastian Gabryel
Zdjęcia: Mariusz Forecki

Lista stypendystów i nagrodzonych wraz z uzasadnieniami na [kulturaopodstaw.pl](#)



Milena Antoniewicz (z d. Piszczorowicz) ukończyła z wyróżnieniem Akademię Muzyczną im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu. Równolegle studiowała w Rostocku w Hochschule für Musik und Theater. Swoje umiejętności doskonaliła na licznych kursach mistrzowskich w Szwajcarii, Niemczech i Austrii. Stypendystka m.in. Ministra Kultury landu Meklemburgia w Niemczech oraz w 2005 i 2011 r. – Marszałka Województwa Wielkopolskiego.



Misja: kompozytorzy zakazani

Miewam szczęście do ludzi. Poznałam prof. Paula Klinga, czeskiego skrzypka mieszkającego w Kanadzie i prof. Edith Kraus, pianistkę z Izraela, którzy przeszli przez przejściowy obóz zagłady w Terezynie. Bywałam u nich w domach: w Pradze, Jeruzolimie, pod Tel Awiwem – o tym, jak w jej życiu pojawili się kompozytorzy zakazani opowiada pianistka Milena Antoniewicz.

Daina Kolbuszewska: Od 2000 r. bierze Pani udział w czesko-izraelsko-niemieckim projekcie „Zakazana Muzyka: Historia, Muzyka i Pamięć”. W ramach stypendium Marszałka Województwa Wielkopolskiego zarejestrowała Pani utwory kompozytorów więzionych w obozie koncentracyjnym w Terezynie. Jak to się zaczęło?

Milena Piszczorowicz-Antoniewicz, pianistka, kameralistka: - W 2000 r. wzięłam udział w Międzynarodowym Konkursie im. R. Schumanna w Zwiczkau. Nie dostałam się do II etapu, ale okazało się to nieistotne. W pracach jury obok Prof. Klause Hellwiga zasiadał m.in. Prof. Radoslav Kvapil, który bardzo docenił moją grę. Zaprosił mnie do udziału w kursie mistrzowskim w Pradze. To był kurs poświęcony przede wszystkim kompozytorom zakazanym, głównie z obozu w Terezynie. Pierwszy w czesko-izraelsko-niemieckim projekcie „Zakazana Muzyka: Historia, Muzyka i Pamięć”, którego celem jest odnajdywanie i wykonywanie dzieł muzycznych z czasów II wojny światowej oraz kultywowanie pamięci o zapomnianych kompozytorach pochodzenia żydowskiego. Byłam jedyną Polką, która w nim brała udział.

Analizowaliśmy i graliśmy utwory Karela Reinerja, Gidona Kleina, Viktora Ullmana – kompozytorów więzionych w Terezynie. Mieliśmy zajęcia z prof. Paulem Klingiem, czeskim skrzypkiem mieszkającym w Kanadzie i prof. Edith Kraus, pianistką z Izraela, którzy przeszli przez przejściowy obóz zagłady w Terezynie i obóz koncentracyjny

w Auschwitz. Udało im się przeżyć... Spotkanie z nimi było przełomem dla mnie. Byłam wtedy na II roku studiów. Zaczęłam inaczej myśleć o muzyce. Odszukiwanie i granie utworów kompozytorów zakazanych stało się dla mnie rodzajem misji.

Poznała Pani ludzi, którzy chcą, by losy żydowskich kompozytorów w czasie II wojny i ich twórczość nie zostały zapomniane. Muzyków, którzy przeżyli Terezyn...

- Od ludzi się wszystko zaczyna, miewam szczęście do ludzi. Pozostawałam w kontakcie z prof. Edith Kraus, prof. Davidem Sellą, z wdową po Karelu Reinerze. Bywałam u nich w domach – w Pradze, Jeruzolimie, pod Tel Awiwem. Z Paulem Klingiem korespondowałam aż do jego śmierci, przechowuję jego listy, pocztówki, płyty, pozostaję w kontakcie z wdową po Nim, Taką Kling. Bardzo się z tymi ludźmi związałam!

Przy okazji różnych wyjazdów i koncertów poznałam też np. Michaela Chaplina, wnuka Charliego Chaplina, Andrzeja Szpilmana, syna Władysława Szpilmana, syna Władysława Szpilmana, Gottfrieda Wagnera, prawnuka Ryszarda Wagnera, wyklętego przez rodzinę, który jeździ po całym świecie z wykładami „Od Wagnera do Hitlera”. Moje życie zupełnie zmieniło kierunek. Organizatorzy kursu w Pradze – prof. David Sella z Izraela i Volker Ahmels z Niemiec realizowali przez kilka lat własne projekty, dotyczące kompozytorów zakazanych. Otworzyło mi to wiele drzwi w Izraelu, Czechach, Niemczech. Jeździłam na kursy, koncerty, wykłady, konkursy, stypendia.

Kiedy leciałam pierwszy raz do Izraela (2003) trochę się bałam, ze względu na sytuację polityczną. Jechaliśmy kiedyś drogą w Jaffie i niespodziewanie zatrzymaliśmy się. Zapytałam, co się dzieje. Okazało się, że żołnierze w odległości ok. 10 metrów od nas sprawdzali przy pomocy robota, czy na drodze pozostawiono bombę... W czasie kursów spotykali się niemieccy i izraelscy muzycy. Niemcy, którzy wszystko muszą mieć zaplanowane na rok z góry i Izraelczycy, którzy muszą stanąć na drodze, bo np. akurat trzeba rozbroić bombę. Trudno im się czasem było porozumieć. Jedyne w czasie wspólnego muzykowania nic ich nie dzieliło, muzyka ponad wszystkim.

Byłam w tym czasie na poznańskiej uczelni uczennicą prof. Jana Jańskiego, cudownego człowieka. Profesor akceptował moje podróże, kameralne granie, akompaniowanie. Uwierzył we mnie, to dodało mi skrzydeł.

Grała Pani w Muzeum Żydowskim w Berlinie, na terenie obozu w Terezynie, w Jeruzolimie. Czym było dla Pani granie w Terezynie utworów skomponowanych w obozie?

- Bardzo mocne przeżycie. Trudno opisać słowami. Kiedy grałam, miałam świadomość, że z tego miejsca codziennie setki osób wywożono do Auschwitz. Ale najbardziej przeżyłam, już będąc matką (córka Hania ma teraz siedem lat), historię „Brundibara”, opery dla dzieci obozu w Terezynie. Tych dzieci, które zostały potem wywiezione do Auschwitz i zamordowane.

W ramach stypendium Marszałka Województwa Wielkopolskiego zarejestrowała Pani utwory, które powstały w Terezynie.

- Stypendium Marszałka pomogło mi w zrealizowaniu moich marzeń. Zarejestrowałam utwory kompozytorów z obozu Terezynie, m.in. dwa cykle utworów fortepianowych Karela Reinerja, cykl pieśni Pavla Haasa wraz z Katrin

Burhardt, z którą dostałyśmy II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Verfemte Musik w Schwerinie. Dodatkową nagrodą były koncerty laureatów, w Pradze, w Berlinie.

Cały czas rozszerzam repertuar o kolejnych kompozytorów, o literaturę nie tylko solową, ale też kameralną. Zaczęłam się interesować Mieczysławem Weinbergiem i Szymonem Laksem. Poznałam Ewelinę Nowicką, mieszkającą w Hamburgu, która jest zakochana w twórczości Weinberga. Wydałyśmy razem płytę z utworami tego kompozytora „Mieczysław Weinberg – Works for violin and piano” (RecArt). Ta płyta, obok utworów terezińskich, w pewnym sensie „wrosła” ze stypendium marszałka, była kolejnym krokiem. Została nominowana do nagrody Fryderyk 2014.

Weinberg, polski Żyd, lub Polak żydowskiego pochodzenia – nie chcę etykietować, przez 20 pierwszych lat życia mieszkał w Warszawie. Jego rodzice pochodzili z Mołdawii. Warto, by jego muzyka stała się trochę bardziej znana w Polsce. Mnie – całkowicie zauroczyła. Nasza płyta dostępna jest m.in. we Francji, Niemczech, Stanach Zjednoczonych – niestety, najsłabiej sprzedaje się w Polsce. Duży wkład w jej powstanie, obok nas, muzyków, miał Łukasz Kurzawski, znakomity reżyser dźwięku, z którym studiowałam w Poznaniu.

Czy nuty utworów kompozytorów zakazanych są dostępne w wersji drukowanej, rękopisach?

- Część jest wydana, część pozostaje w rękopisach, choć sukcesywnie wydawane są kolejne partytury. Wydawnictwa Boosey i Hawkes z Berlina, Peermusik z Hamburga wysyłają chętnie nuty, czasem nawet za mniejsze opłaty. Chcą, żeby tę muzykę grać.

**Rozmawiała: Daina Kolbuszewska
Zdjęcie: Mariusz Forecki**

Cały wywiad na kulturaopodstaw.pl

Kalisz w portretach kobiet

Im bardziej zgłębiałam dzieje Kalisza, tym bardziej w tym obrazie brakowało mi kobiet. Pojawiały się jakoś marginalnie, bardziej jako koronka, kwiatek, ozdoba. A mnie interesowały żywe, działające postaci. Swoimi kobietami podejmuję dyskusję z utrwalonymi kliszami narracji o mieście – mówi Anna Tabaka, autorka alternatywnego przewodnika po Kaliszu.

Daina Kolbuszewska: Jaki jest Kalisz widziany przez pryzmat kobiet?

Anna Tabaka: Inny. Na co dzień szary, nagle zaczyna błyszczeć, gadać, opowiadać. Jest ładniejszy, wymarzony, spełniony, mądrzejszy. Taki, jaki powinien być.

Skąd pomysł alternatywnego przewodnika, o kobietach?

- Długo pisałam felietony historyczne do lokalnej prasy. Im bardziej zgłębiałam dzieje Kalisza, tym bardziej w tym obrazie brakowało mi kobiet. Panie były, ale pojawiały się jakoś marginalnie, bardziej jako koronka, kwiatek, ozdoba. A mnie interesowały żywe, działające postaci. Zadałam sobie pytanie, jak to jest? Czy ich rzeczywistość nie ma, czy ja ich nie widzę? Czy to jedynie pewien sposób dotychczasowego budowania narracji spowodował, że kobiety grają drugie skrzypce? Z kolejnymi podejmowanymi przeze mnie zadaniami przyszły następne pytania - o sposób promocji miasta. Co to ma do moich kobiet? Uważam, że gdyby przez długie dekady cała para promocyjna nie poszła w utrwalanie kontrowersyjnego lub zabawnego – jak kto woli – sloganu „Kalisz – najstarszym miastem w Polsce”, z wszystkiego tego konsekwencjami, byłibyśmy bardziej otwarci na inne spojrzenie, alternatywne drogi narracyjne.

Bardziej docenilibyśmy miasto, które jest (czyli modernistyczne z dziewiętnastowiecznymi zabytkami, rozpięte w śródmieściu na siatce średniowiecznej) niż to, którego nigdy nie było. Bo trudno mówić o mieście sprzed 18 i pół wieku. W skrócie: nie lubię Ptolemeusza. Jednym zapisem „Kalisia” w swojej „Geografii” poprzestawiał nam wagę rzeczy na długie lata. Można teraz dyskutować o politycznym kontekście obchodów 18 wieków sprzed pół wieku, kiedy „staliśmy się” najstarszym miastem, ale dla mnie ważniejsze jest to, co z tego wyniknęło później, ważniejsze są konsekwencje. Swoimi kobietami podejmuję dyskusję z pewnymi utrwalonymi kliszami narracji o mieście i sama wyruszam po przygodę, bo to droga nieznaną.

Alternatywność przewodnika polega również na decyzji o jego ilustrowaniu – nie stare fotografie, ale dobra ilustracja. Podjął się tego zadania Przemek Dunaj, znakomity ilustrator i narrator, którego opowieści słowno-obrazowe mają cechę dobrej baśni – chce się ich słuchać.

Jak wybierała Pani kobiety, o których pisała?

- Uznałam, że w moim przewodniku musi znaleźć się pewien kanon, bo będąc pierwszą w tym mieście z takim ujęciem,



ale jednocześnie kanon nie mógł mnie ograniczać, ani być postumentem pod pomniki. Nie chcę przez to powiedzieć, że pracowałam na „dziewiczym terenie”. Wiele zawdzięczam prof. Edwardowi Polanowskiemu, prekursorowi badań o społecznej roli kobiet w gubernialnym mieście nad Prosną i Kaliskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, które nieustająco dopinguje mnie do twórczego działania. Lista podziękowań dla innych autorów i autorek, z których prac korzystałam, jest długa, co pokazuje bibliografia zamykająca mój przewodnik.

Niektóre postacie krążyły wokół mnie od lat, jak przedsięwzięcie siostry Maria Gałczyńska i Emilia Bohowiczowa. Ta druga, podam jako ciekawostkę, założyła w Kaliszu, dość późno, stowarzyszenie sług, tzw. zytki. Inne, jak żydowską dziewczynę Fleidę, znam jedynie z opowiadań. Interesuje mnie forma otwarta, na tyle pojemna, żeby w miarę postępu prac i badań można ją było rozbudowywać. Może zrobią to już następni autorzy? Nie wiem. Ważne jest stawianie sobie pytań. Powiem też wprost, że bez dwóch Marysierek: Konopnickiej i Dąbrowskiej,

napisać się tej książki nie dało. To było nie lada wyzwanie zmierzyć się z takimi „monumentami”, do tego w lapidarnej, przewodnikowej formie. I... odkryłam je dla siebie! Maryśki były przede wszystkim świetnymi, bardzo mądrymi, inteligentnymi kobietami. Napisałam w sumie 18 portretów, bohaterem dziewiętnastego jest mężczyzna, obrońca praw kobiet, a wszystko razem łączą trzy rozdziały ogólne o akuszerkach, gorsetach oraz prostytutkach i policjantkach.

Lista nie jest zamknięta i wyczerpana. Ostatnio otrzymałam niezwykle interesujące fotografie Wacławy Essers, nietuzinkowej nauczycielki i malarki z Opatówka. Wacława urodzona w latach 70. XIX wieku żyła prawie sto lat, co zawdzięcza zapewne genom i zdrowemu trybowi życia (zadziwiła lokalną społeczność kąpielami w zimnym przerwęblu). Trudno byłoby pominąć taką postać. Lubię kobiety „nie do końca uczesane”, niespokojne, a Essersowa nawet wtedy, gdy fotografowała się z uczniami, wychodziła ze schematu nienagannej nauczycielki.

Które z bohaterek są Pani bliskie?

- Nie mogę wskazać jednej postaci. Cenię

Marię Gałczyńską, kaliską bizneswoman przełomu wieków, za dar radzenia sobie w każdej sytuacji. Doktor Deborę Gross-Schinagel, dyrektor kaliskiego szpitala żydowskiego w czasie II wojny światowej, za niezłomność postawy. Melanię Parczewską i Felicję Łączkowską, nauczycielki i przewodniczki wielu pokoleń, za konsekwencję w wyborze drogi, a Wierę Snaksarew, matkę „srebrnej Natalii” i księżną Izabellę Czartoryską za styl. Ogromnie cenię twórczość i dar radości życia Aliny Szapocznikow. Wszystkie były silnymi osobowościami, komunistka Janina Broniewska także, tego jej odmówić nie można. Fascynująca biografia. Chcę tym samym podkreślić, że nie oceniam wyborów swoich bohaterek, interesuje mnie ich życie jako materiał na ciekawą narrację.

One też – kobiety – są moimi przewodniczkami po mieście i okolicy: Russowie, Gołuchowie, Opatówku oraz innych miejscowościach. Każdą z pań na kartach przewodnika wiążę z miejscami, gdzie rozegrały się ważne dla nich wydarzenia, czasem - gdy obiekt już nie istnieje - po prostu opowiadam o zdarzeniu (kto wie, oprócz wąskiego grona i pasjonatów, że w Kaliszu w 1909 r. odbyła się Wystawa Pracy Kobiet?). Będą to obiekty typowe, jak Pałac Puchalskiego dla Konopnickiej czy budynek dawnej pensji przy Babinej, do której chodziła Dąbrowska i - niestandardowe, jak podkaliska Słoneczna, przedwojenne letnisko, znane tylko „wtajemniczonym” turystom, gdzie swoje najlepsze wakacje spędziła Broniewska. Ale idę także do kościołów, gdy piszę o błogosławionej Jolancie.

Nie trzymam się ani chronologii, ani nie chodzę tylko utartymi ścieżkami turystycznymi. Widzę miasto, ale bardziej chcę widzieć osobę i jej życie. Moje kobiety są dla mnie przede wszystkim aktorkami, bez których nie ma sztuki.

Dołączyła Pani do przewodnika znakomity „słownik luksusu”!

- Słownik luksusu – to jeden z tych pomysłów, które przychodzą nagle i bez żadnej korekty są dobre. Wiele lat spędziłam na czytaniu XIX-wiecznych gazet i prasy z tzw. przełomu wieków (sławna belle epoque). Niektóre reklamy, czy zwroty przylepiły mi się do ucha i nie chciały stamtąd wyjść. Wróciłam do nich i zredagowałam swój słownik, który także można rozbudowywać. Koniak Szustowa, pijany na dworze ostatniego cara Rosji, był reklamowany tak przednimi rymami częstochowskimi, układanymi w całe anegdoty z dialogami, że trudno tego nie zapamiętać. Kampania obejmowała całe

terytorium Rosji i Europę, więc nie omijała także kaliskich szpałt.

Z mojej perspektywy ciekawsze są jednak reklamy firm lokalnych, z których można wyczytać uliczną topografię dawnych zakładów i sklepików z modnymi towarami; miałam dużo zabawy czytając te anonse. Na tej podstawie zredagowałam swój słownik, który także można rozbudowywać. Co z tego wynika? Banał. Świat zmienił się w swoich zewnętrznych formach, ale nasze pragnienia pozostają śmiesznie niezmiennie. Ciągłe chcemy być piękni, zdrowi i bogaci – to nam obiecują dzisiejsze reklamy i to obiecywano naszym babkom, sprzedając „cudowne specyfikę” na wszystko.

Rozmawiała: Daina Kolbuszewska

Zdjęcie: Mariusz Forecki

Ilustracja: Przemek Dunaj

Anna Tabaka – historyczka sztuki (Uniwersytet Wrocławski), regionalistka, popularyzatorka wiedzy nt. historii, zabytków oraz tradycji Kalisza i regionu. Autorka gazetowych i książkowych publikacji, w tym tekstów naukowych. Najmocniej zainteresowana okresem międzywojennym i procesami modernizacyjnymi (m.in. „Teatr modernistów”, „Modernizm znaczy świat”, „Obraz Kalisza w świetle przewodników po Kaliszu okresu międzywojennego”). Wyróżniona Nagrodą Prezydenta Miasta Kalisza



za Osiągnięcia w Dziedzinie Upowszechniania Kultury i Ochrony Dziedzictwa Narodowego w sezonie kulturalnym 2009/2010. Honorowy przewodnik miasta Kalisza. Należy do Kaliskiego

Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Projekt „Wszystko dla pań” został zrealizowanym w ramach stypendium Marszałka Województwa Wielkopolskiego w wersji elektronicznej (2016).

Psychiatra z gitarą

Różnie o nas mówią, kiedyś usłyszałem, że gramy jak „Myslovitz”, z czym trudno jest mi się zgodzić. Przede wszystkim stawiamy na teksty polskie i minimalizm, prostotę brzmienia. Wokal, gitara, bas i perkusja to nam wystarcza – opowiada Michał Bielawski, leader zespołu Hoszpital oraz lekarz, który właśnie robi specjalizację z psychiatrii.

Adam Olaf Gibowski: Lekarz z gitarą. Dość nietypowe połączenie. Znam tylko Kubę Sienkiewicza z Elektrycznych Gitar, który z wykształcenia jest lekarzem neurologiem.

Michał Bielawski: Nie wiem czy nietypowe. Tak jakoś wyszło. Muzyką zacząłem interesować się znacznie wcześniej, niż medycyną. Zaczęło się od gitary, której jestem wierny do dziś. Początki mojej przygody z muzyką sięgają czasów nauki w gimnazjum.

A twój zespół „Hoszpital” od czego wziął nazwę?

- Pewnie pomyślił sobie, że to ma jakiś głęboki związek z moim zawodem. Nie, ta nazwa przyszła do mnie sama, kiedy szedłem ulicą. Spodobała mi się i jest.

Jakie były wasze początki?

- „Hoszpital” założyłem wraz z kolegą z mojego roku, mieszkaliśmy w tym samym akademiku, w Eskulapie. Niestety, Mateusz już dziś nie gra w zespole, wyjechał do innego miasta robić specjalizację. Od samego początku zespół w założeniu gra jako trio. Obecnie poza mną zespół tworzą perkusista Adrian i basista Paweł. Mogę opowiedzieć dość zabawną historię, związaną z tym, jak Mateusz, pierwotnie gitarzysta został basistą. Kiedy byliśmy na czwartym roku medycyny, okazało się, że uczelnia przez poprzednie lata wypłacała nam stawki stypendium niższe od tych, które nam przysługiwały w rzeczywistości. W związku z tym dostaliśmy splotę wyrównującą. Okazało się, że nie było to mało, kilka tysięcy złotych. I właściwie od tego momentu zaczęło się prawdziwe granie. No bo, co tu zrobić z taką kasą? Poszliśmy do sklepu muzycznego. Chcieliśmy kupić drugi piec gitarowy, bo jeden już mieliśmy oraz drugą gitarę. Ale Mateusz jakoś tak snuł się po tym sklepie i znacznie bardziej był zainteresowany basami, niż gitarami. Co ciekawe, nigdy wcześniej nie grał na basie. Ostatecznie kupiliśmy bas i piec dla niego, bo w sumie doszliśmy do wniosku, że druga gitara nie jest nam potrzebna. I tak Mateusz został basistą.



A jaką muzykę tworzycie?

- Różnie o nas mówią, kiedyś usłyszałem, że gramy jak „Myslovitz”, z czym trudno jest mi się zgodzić. Przede wszystkim stawiamy na teksty polskie i minimalizm, prostotę brzmienia. Wokal, gitara, bas i perkusja to nam wystarcza. Dzięki temu udaje nam się osiągnąć pewną intymność muzyki.

Korzystacie z gotowych tekstów, czy tworzycie je sami?

- Teksty piosenek ja piszę, chociaż raz się zdarzyło, że użyliśmy gotowego już tekstu – Andrzeja Bursy „Ja chciałbym być poetą”. Ten numer wykonywał Leszek Długosz, znany bard Piwnicy pod Baranami. To był tylko jeden przypadek w trakcie całej naszej działalności.

Pomówmy o waszych nagraniach, bo macie się czym pochwalić.

- Tak, mamy na swoim koncie już trzy

krążki. Pierwsza płyta nosiła tytuł „Smutno”, druga przez analogię „Wesoło”, no i ostatnia – „Horor”. Pierwsza płyta składała się zaledwie z kilku utworów, dwie pozostałe są znacznie bogatsze pod względem zarejestrowanego materiału.

Opowiedz coś więcej o waszym ostatnim krążku.

- Płyta wyszła w maju 2016 roku i znajduje się na niej 10 tracków. Po drugiej płycie z upływem czasu zorientowaliśmy się, że przybyło nam trochę nowych piosenek i może warto byłoby je zarejestrować. Doszliśmy do wniosku, że wszystkie te piosenki, które znalazły się na krążku łączy wspólny mianownik. Jest nim pewna aura psychodeliczności, która jest mocno obecna w samych tekstach, jak i w muzyce. Tak właśnie powstała płyta „Horor”.

Łączysz grę w zespole z robieniem spe-

cializacji z psychiatrii w szpitalu w Kościanie. Dlaczego właśnie psychiatria?

- O psychiatrii myślałem od samego początku, już idąc na studia medyczne. Meandry ludzkiej psychiki są dla mnie czymś fascynującym. Jako student przypatrywałem się różnym dziedzinom medycznym, jednak żadna nie zainteresowała mnie bardziej od psychiatrii. To chyba specjalizacja marzeń.

Rozmawiał: Adam Olaf Gibowski

Zdjęcie: Mariusz Forecki

Michał Bielawski – założyciel oraz lider zespołu „Hoszpital”. Lekarz medycyny, w trakcie specjalizacji z psychiatrii. Stypendysta Marszałka Województwa Wielkopolskiego w roku 2016. Owocem stypendium jest płyta „Horor”.

Oddałbym duszę za sopran

Gdyby przyszedł do mnie Lucyfer, czy nawet Mefistofeles, i powiedział: słuchaj, masz tutaj cyrograf. Jak go podpiszesz i odsprzedasz mi duszę, ja ci dam możliwość zaśpiewania jednego spektaklu sopranem. Zrobiłbym to bez najmniejszego zawahania – Adam Olaf Gibowski opowiada o swojej fascynacji operą.

Kuba Wojtaszczyk: Zaczę banalnie: kiedy poczułeś, że chcesz zajmować się operą?

Adam Olaf Gibowski: Kiedyś zadałem sobie pytanie, skąd u mnie fascynacja muzyką klasyczną? Miałem w głowie tylko niejasny przebłysk: mam chyba pięć lat i patrzę na twarz dziennikarki telewizyjnej. Dopiero po piętnastu latach dowiedziałem się, że była to retransmisja koncertu z auli poznańskiego uniwersytetu, którą wówczas musieli oglądać moi rodzice. Stałem jak wryty przed telewizorem i patrzyłem na wspomnianą kobietę. Od tamtego czasu bardzo chętnie Ignąłem do miejsc, gdzie pojawiała się muzyka – nazwijmy to – klasyczna. Po wielu, wielu latach spotkałem tamtą dziennikarkę na premierze w poznańskiej Operze. To była Emilia Skalska, dzisiaj już emerytowana dziennikarka muzyczna TVP.

A kiedy pojawiła się opera?

- Przyszła z czasem i to przez Violetę Villas. To była moja muza w latach dzieciństwa i wczesnej młodości. Nęciła mnie całym sztafażem dziwactw, nienormalności, niestandardowości. Dopiero przez nią i przez jej piosenki zacząłem uderzać w świat opery. Pierwsze, bardziej świadome wybory operowe, zdarzyły mi się około 16. roku życia. Tym wyborem była oczywiście Maria Callas. Wiadomo, że od największych się zaczyna. Ale dlaczego zacząłem interesować się tym, a nie czymś innym? Mam odpowiedź banalną: Bo tak! Bo mnie się to podobało i podoba do dzisiaj.

Nie uważasz, że opera funkcjonuje w naszym społeczeństwie jako pewnego rodzaju snobizm?

- Bardzo dobrze! Wydaje mi się, że od pewnego czasu jest moda na operę. Wiele reżyserów filmowych, czy głośnych nazwisk teatru dramatycznego chce wyreżyserować spektakl operowy. Współczesny teatr dramatyczny stał się bardziej kameralny, oszczędny w środkach, natomiast opera posiada ogromne środki i aparat wykonawczy, którym chciałby dysponować niejedyn reżyser. Nie jest to tylko moja opinia. Jakiś czas temu przy okazji premiery „Borysa Godunowa” podzielił się z mną podobną refleksją Iwan Wyrpajew.

Nie jesteś zwykłym odbiorcą opery.

Piszesz książkę „Pół wieku Pegaza. Sylwetki artystów sceny operowej w Poznaniu”. Jakich twórców wzięłeś na warsztat?

- Gdy zaczynałem pisać tę książkę, postawiłem sobie dwie cezurę. Pierwszą była czasowa – wybrałem artystów, którzy mają już zakończone kariery, tzn. jeszcze żyją, ale już nie występują na scenie. A to z racji tego, że można uchwycić całość ich artystycznego dorobku. Drugą cezurą był wybór artystów, którzy kreowali role pierwszoplanowe i wnosili coś istotnego w rozwój Teatru Wielkiego w Poznaniu, dawniej Opery Poznańskiej.

Masz swoich ulubieńców?

- Kłamstwem byłoby, gdybym powiedział, że wszystkich kocham jednakowo. Dla mnie najbardziej fascynujące będą zawsze sopran. I to nieważne, czy dramatyczne, czy koloraturowe. W głosie sopranowym jest coś takiego metafizycznego, coś magnetycznego, co przykuwa. Gdyby przyszedł do mnie Lucyfer, czy nawet Mefistofeles, i powiedział: Słuchaj, masz tutaj cyrograf. Jak go podpiszesz i odsprzedasz mi duszę, ja ci dam możliwość zaśpiewania jednego spektaklu sopranem. Zrobiłbym to bez najmniejszego zawahania. Problem pojawiłby się wtedy, gdybym miał wybrać tytuł, który chciałbym wykonać, bo jest ich milion. Sopran są dla mnie szczególnie i niepowtarzalne. Co oczywiście nie oznacza, że alty, barytony, tenory, basy są czymś gorszym. Po prostu jest to moja osobista preferencja i nie do końca wiem, z czego wynika.

Jakie sopranistki konkretnie masz na myśli?

- Są dwie takie osoby. Pierwsza to Krystyna Kujawińska, śpiewaczka, która miała naprawdę wszelkie szanse, by zrobić karierę międzynarodową. Wybrała jednak Poznań. Oczywiście, my melomani, możemy mieć do niej pretensje, że nie przyjmując pewnych ofert, nie rozstała się z polską szkołą wokalną, ale trzeba uszanować jej wybór. Kujawińska zaśpiewała bardzo wiele trudnych, dramatycznych, wymagających ról, na które większość śpiewaczek w ogóle nie może sobie pozwolić. Rozpoczęła karierę bardzo wcześnie, bo jeszcze przed trzydziestką, a skończyła mając sześćdziesiąt parę lat. Przez cały ten czas śpiewała na najwyższym poziomie. Ze sceny odeszła niespo-



dziewanie. Wszyscy byli zaskoczeni. Nie chciała żadnej gali, żadnego benefisu, postanowiła pożegnać się szeregowym, zwykłym spektaklem. To pokazuje mądrość i wielkość tej kobiety. Dzisiaj żyje spokojnie w willi w Puszczykowie pod Poznaniem, w otoczeniu lasu i pięknego ogrodu. Jest osobą przesympatyczną, mającą wielu przyjaciół, pozytywnie nastawioną do ludzi, a przy tym zachowała taką franciszkańską pokorę wobec świata. Gdybyś ją poznał, nigdy byś nie powiedział, że to wielka gwiazda operowa. Jest miłą, bardzo elegancką panią, która zawsze przyjmuje gości sernikiem i kawą. Nie ma w sobie nic z powszechnego wyobrażenia o diwie operowej.

A druga osoba?

- Antonina Kowtunow, sopran koloraturowy, nie dramatyczny jak Kujawińska. Również miała mnóstwo fantastycznych pierwszoplanowych ról ze słynną „Trawiata” na czele. W osobowości Kowtunow jest coś z operowego szaleństwa. Ma w sobie coś z wielkiej heroiny. Nawet zwyczajna rozmowa z nią nie jest banalna, zawsze pojawi się coś intrygującego, ciekawego. Poza tym, Kowtunow jest bardzo kobieca, co w przypadku primadonny nie pozostaje bez znaczenia. Trudno się nie zachwycić, gdy mamy do czynienia z głosem tak wielkiej urody i do

tego artystką świadomą wszystkiego, co robi.

Czy do odbioru spektakli potrzebna jest większa wiedza o samej operze?

- Wydaje mi się, że tak, jak do każdego innego rodzaju sztuki. Pewna wiedza jest potrzebna. Na początku są jednak emocje i fascynacja. Dopiero później zaczynamy szerzej się interesować, próbujemy zrozumieć to, co od razu nie było oczywiste i jasne. Dlatego wiedza jest potrzebna, ale ona przychodzi z czasem. Przy pierwszych fascynacjach nie jest niezbędna w odbiorze. Wystarczy mieć otwartą głowę, serce i uszy.

**Rozmawiał: Kuba Wojtaszczyk
Zdjęcie: Mariusz Forecki**

Adam Olaf Gibowski – muzykolog i krytyk muzyczny. Autor komentarzy do programów koncertów symfonicznych i spektakli operowych. Stypendysta Marszałka Województwa Wielkopolskiego 2016, współtworzy portal kulturaupodstaw.pl. W ramach programu stypendialnego zrealizował projekt „Pół wieku Pegaza. Sylwetki artystów sceny operowej w Poznaniu”, obejmujący pracę badawczą i przygotowanie publikacji poświęconej poznańskiemu artyście opery.

Ojcobójstwo w imię muzyki

Na szczęście nie studiowałem w konserwatorium, więc nie musiałem odczuwać się wizji właściwej muzyki. Niezależnie od tego, jeśli chcesz przemówić własnym głosem, musisz dopuścić się ojcobójstwa – wyznaje Adam Gołębiowski, perkusista i improwizator, który za kilka miesięcy wyda wspólną płytę z Thurstonem Moorem, jednym z najlepszych gitarzystów wszech czasów.

Sebastian Gabryel: Przyzwyczajaliśmy się postrzegać perkusję w konkretny sposób. Każdy z nas ma względne pojęcie z czego ona się składa, jak brzmi i jaka jest jej ekspresja. Mówiąc wprost: jakie są bębny, każdy widzi. A może tylko tak nam się wydaje?

Adam Gołębiowski: Wolałbym nie stawiać się w roli kogoś, kto potwierdza, czy dementuje zbiorową iluzję. Ale ta wybiórcza percepcja jest czymś zupełnie normalnym i dotyczy całego, ożywionego i nieożywionego ludzkiego świata, o którym mamy właśnie „względne pojęcie” z czego się składa. Życie musiałoby być jakimś koszmarem potwornej nudy, gdybyśmy dysponowali głębokim wglądem we wszystko, co z resztą nie jest możliwe, skoro owo „wszystko” jest dynamiczne. Kontekst wszystkich praktyk artystycznych, ich narzędzi, artefaktów – namacalnych bądź nie – nie jest od tego wolny. Co więcej, zarówno twórcy jak i odbiorcy, reprodukują własne audialne, gestyczne, audytorijne wyobrażenia tych przedmiotów i praktyk. Odpowiem, odwracając Pańskie pytanie: każdy widzi inaczej jakie są bębny. W tym wypadku – Gołębiowski szuka swojego autorskiego widzenia, czy ścisłej, słyszenia.

Perkusistę nie ogranicza tonacja czy wysokość dźwięku. Zważywszy na liczne eksperymenty, jakie przez lata przeprowadzali choćby muzycy jazzowi, pojawia się pytanie: gdzie przebiega granica w graniu na tym instrumencie? Słuchając Pańskiej płyty „Relephant”, nagranej z wiolonczelistą Fredem Longberg-Holmem, zastanawiam się, czy ona w ogóle istnieje?

- Nie przeceniałbym eksperymentalnego wkładu perkusistów jazzowych, którzy byli dość konformistyczni i posłuszni tradycji muzycznej, jak sądzę wyjątkowo dla nich opresyjnej. Jeżeli Elvin Jones mówił, iż podstawowym zadaniem perkusisty jest podtrzymywanie czasu muzycznego, a Sunny Murray, że możesz być awangardowy dopiero, jeśli nauczysz się swingu, to warunkowo jestem w stanie zgodzić się z – krzywdzącym skądinąd – stwierdzeniem Johna Cage'a, że muzycy jazzowi nie rozumieją swojego instrumentu. Rzecz ma się inaczej w przypadku Hana Benninka, Paula Lovensa, Rogera Turnera i wielu innych, ale to opisuje różnica między amerykańską, a europejską tradycją free jazzu. Wątpliwe, byśmy podnieśli z Fredem choć jeden dźwięk, składający się na „Relephant”, przyjmując istnienie jakichś granic, szczególnie wyznaczonych przez kogoś lub coś, choćby tra-



dyjąc właśnie. Jednak cała przyjemność i trud zawiera się w tym, że granice momentalnie urealniamy się we własnych ograniczeniach. W możliwej ilości wydobytych dźwięków w danym momencie, szybkości, z jaką się to czyni, ich jakościowej charakterystyce, wytrzymałości ciała i samokontroli. W tym, by nie dać się łatwo sprowokować, by we właściwych momentach eskalować bądź milczeć.

Pana album „In Front Of Their Eyes” w 2015 roku został zaprezentowany w formie żywej instalacji dźwiękowej w poznańskiej Galerii Arsenal. W 18-calowym bębnie zamontował Pan fantom ludzkiej głowy, w której z kolei znajdował się zestaw mikrofonów. W jakim celu?

- Ta instalacja ma dualny charakter, i jest de facto pewną krytyką „nowych mediów”. Jej celem jest, po pierwsze, zbliżenie słuchacza, do możliwie najbardziej naturalnej sytuacji odbioru dźwięku, umieszczając go symbolicznie w środowisku nigdy mu niedostępnym, a więc wewnątrz instrumentu, gdzie rozchodzący się dźwięk ma zupełnie inną postać. Drugim ogniwem jest możliwe jak największe zdystansowanie, wyparcie się czegokolwiek, co odnosiłoby się do tradycji użycia instrumentu perkusyjnego. Jak widać, to proste założenia – stereofonia binauralna, stwarzająca silną iluzję trójwymiarowości dźwięku, jest znana od

dawna, tak jak bęben z napiętą membraną. Natomiast finalny obraz dźwiękowy, jest już znacznie mniej oczywisty, bardziej kompleksowy i rozmyty zarazem.

Dwa lata przed wydaniem tej płyty wystąpił Pan z Yoko Ono i Thurstonem Moorem w ramach festiwalu Transatlantyk. To żywe legendy awangardy, uwielbiający nawet najbardziej zaskakujące eksperymenty. Jak wspomina Pan spotkanie z nimi?

- Na poziomie pragmatyki, spotkanie było bardzo satysfakcjonujące. Sami mnie znaleźli, sami się zgłosili, nikt z Polski w tym nie pośredniczył. Mimo że między każdym z nas różnica wieku wynosiła 25 lat, panowała pełna równość sceniczna i pozasceniczna. Nikt nie mówił mi, co mam robić, było dużo wzajemnego szacunku. Jako trio mieliśmy może kilkanaście minut na przygotowanie przed finalnym występem, więc była to czysta spontaniczność o kwaśnej i bolesnej emanacji dźwiękowej. Później na dokumentacji zobaczyłem, że w pierwszym rzędzie siedział, wściekle klaszczący, cały ówczesny poznański establishment ekonomiczno-polityczny. Zabawna, zbiorowa panika.

Po występie w Poznaniu Moore zaproponował Panu serię koncertów. Zagrałicie m.in. w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej, zawitaliście do Londynu. Za kilka miesięcy wydacie

wspólny album. Mając na uwadze radykalny charakter twórczości każdego z Was, aż strach pomyśleć, co będziecie mogli na nim znaleźć.

- Płyta w duecie dokumentuje polskie koncerty i faktycznie, nie brakuje tam kości, krwi i mięsa, ale wszystko zamyka się w spójnej brzmieniowej całości. Będzie to też spójne i solidne wydawnictwo – podwójny winyl, CD. W Londynie graliśmy jeszcze z Johnem Edwardsem, jednym z najważniejszych kontrabasistów brytyjskiego „free improvisation”, co przełożyło się na nieco inny charakter muzyki, choć szczególna potrzeba cierpienia uzewnętrznienia się w dźwięku była nam wspólna.

**Rozmawiał: Sebastian Gabryel
Zdjęcie: Mariusz Forecki**

[Cały wywiad na kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)

Adam Gołębiowski – stypendysta Marszałka Województwa Wielkopolskiego z 2014 roku. Absolwent socjologii i muzykologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, doktorant Interdyscyplinarnych Studiów Doktoranckich Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Perkusista eksperymentalny, poruszający się głównie na gruncie muzyki improwizowanej, eksperymentalnej i free jazzu.



wielkopolska.

kultura u podstaw

Redaktor prowadzący: Iwona Torbicka
Autorzy: Daina Kolbuszewska, Sebastian Gabryel, Adam Olaf Gibowski,
Kuba Wojtaszczyk
Zdjęcia: Mariusz Forecki
Projekt okładki i grafika: Dariusz Krupa
Wydawca: Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego,
Departament Kultury
Skład: Beata Derkacz, Głos Wielkopolski
Druk: Polska Press Sp. z o.o.



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**